

Dorastał jak zwykły chłopak, chociaż w domu nie miał lekko
Nie przelewał się dobrobyt, a butelka za butelką
Z kluczem na szyi małolat śmigał po mleko
Gdybał czy wróćą rodzice, przecież nie mają do czego
Zwinięty jak embrion, głodny czekał w pustym domu
Chciał to powiedzieć komuś, ale zwierzał się ścianom z betonu
Nie ma kto mu pomóc, ciągle pytał czemu on
Prosił Boga jeśli tam jest, by dał mu zwykły dom
Nagle są, po trzech dniach klucze w zamku
Zrywa się jak pies witając pana o poranku
W progu dłoń na karku, Ojciec nie wita go czule
Matka ledwo idąc nie dostrzega go w ogóle
Pomyśl co on czuje, ten mały szczupły chłopak
Nie smak czekolady, milion łez w jego oczach
Brak miłości, brak szczęścia, brak sensu
Dla niego zaszło słońce, świat zatrzymał się w miejscu
Mijają dni, ciągle zatopiony w mroku
Jak statek na dnie, zapominany rok po roku
Noce i dnie ciągle sam, ciągle z boku
Nawet jego cień nie dotrzymywał mu kroku
Czekał na cud, choć umarła w nim nadzieja
Czuł jedynie głód, on zamieszkał w jego trzewiach
Nie ma piękna brud we wszystkich jego odcieniach
Czuł jedynie chłód, miał wrażenie, że skamieniał
Znieczulony, opuszczony, zapomniany
Jak artefakt gdzieś głęboko zakopany
To prawda, to fakt, jestem sam, gorzej być nie może
Powiedział do siebie w norze, gdy zapragnął zmiany
Ostatkiem sił zdobył się na ten czyn
Niech się rozplynie przeszłość jak z papierosa dym
Idź, nie wspominaj, ze światem się pojednaj
Zamknął za sobą drzwi, na kartce napisał: Mamo, Tato, żegnaj

Gdy uwolnił się od piekła, braku domowego ciepła
Na zimnej płycie dworca po jałmużnę co dzień klękał
Już nie pamiętał co to znaczy być człowiekiem
Sypiał razem ze szczurami naznaczony miejskim ściekiem
Z deszczu pod rynnę, ciągle ciulał się bez celu
Ludzi wokół jak on wielu, szczęście gdzie Cię szukać, przyjacielu?
Mawiał do kota bez oka z kulawą łapą
Ogrzewali się nawzajem czekając w mrozie na lato
Gdy nadeszło gestapo na budynki spadły bomby
Zamienił dziurawe palto na dwie kukurydzy kolby
Poczuł, że koniec to już tylko kwestia dni
Gdy płonęło miasto, ludzie z krzykiem umierali w nim
Złapał za karabin, pogrzebał głęboko strach
Zapłonęła w nim nadzieja, pogrzebie ją tylko piach
Ku wolności lecą serie, niechaj mu sprzyja Bóg
To Franek waleczne serce, niechaj przepadnie wróg
Armia Krajowa to upragniona rodzina
Ta której nigdy nie miał, pośród partyzantów przyjaźń
Choć wielu z nich padało jak Kamień na Szańcu
Odnalazł sens istnienia, dzielił go z życiem powstańców
Pewnego razu, gdy batalion poszedł w ogień
On walczył aż do końca, choć kula zraniła nogę
Na jego oczach konała jego rodzina
Ich imiona na pomnikach, naród ich nie zapomina

Obudził się w pociągu, upchani po brzeg jak bydło
Wagon towarowy, ludzie głodni, każdy szlocha cicho
Już wiedział co go czeka, nadzieja jak róża zwiędła
To podróż w jedną stronę, w duchu wyszeptał do wolności: żegnaj

Uwięziony przez istoty opętane przez szatana
Znosił każdą torturę, cierpienia potworna skala
Skóra i kości, oczy przesiąknięte bólem
Nie błagał ich o łaskę, gdy tatuowali numer
Śmierć zbierała chórem ludobójstwa plony
Synowie, ojcowie, córki, matki, żony
Kiedyś zapytał jej, kiedy po niego przyjdzie
Ona odpowiedziała: gdy czas na Ciebie nadejdzie
Często słyszał chóry, śpiew, demonów armia
Kościotrupa postury leżał we własnych fekaljach
Nie on jedyny upodlony w roli chwastów
Nie on jedyny był ofiarą holokaustu
Nie kilkunastu, nie kilkudziesięciu
Nie kilkuset, lecz całe miliony
Niepochowanych, zakatowanych
Zamordowanych przez hitlerowców szpony
Gdy skończyła się wojna i oswobodzono Auschwitz
Uwolnił się od kata bata niewolniczej pracy
Miał szczęście, był mocniejszy niż sądził
Lecz pobratymców los ich uwolnił przez komin
Już nie mógł patrzeć na ten świat tak jak przedtem
Zahartowany jak metal, stał się kamieniem
I już nic nigdy nie było normalne
Bo coś w nim umarło i odeszło już na stałe
Postanowił szukać dalej, szukać dalej szczęścia
Popędził ile sił do granicznego przejścia
Gdy stał po tamtej stronie, za roгатką kolebka
Nie popatrzył za siebie, w duchu wyszeptał: Polsko, żegnaj...